


eustachy
rylski
wyspa

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Wyspa

I

Napatrzeć się nie mógł kartoflano-buraczanej urodzie Mielczarka, gałkom oczu jak połówki jajka za cylindrami okularów.

Napatrzeć się nie mógł tej jego podstołecznej, rozkołebanej zwalistości, temu podmiejskiemu sznytowi wyłazącemu z każdego pora skóry, zadzierzystym gestom, knajackiej intonacji, toteż wiadomość, że Mielczarek jest zza Łochowa, ostudziła zaciekawienie Konstantego i zburzyła konstrukcję, w którą podczas rozmowy o niczym go wbudowywał.

Trudno powiedzieć, że Łochów nie pasował Konstantemu do prosiakowatej formy, z wygolonym do skóry, rozrośniętym łbem na masywnej szyi, ale umiejscawiając Mielczarka w geografii kraju, widział go raczej w jednej z tych strasznych miejscowości na wschód od stolicy, do linii wyznaczonej przez Wyszków, Tłuszcz, Mińsk Mazowiecki, Kołbiel.

Bliskość Podlasia sugerowałaby jednak w Mielczarku pewną polność, ruczajowatość, rzewność nawet, którymi ten muśnięty nie był.

Łochów wprowadzie to cały czas uporczywie nizinne, rozpanoszone, brudne i pyskate Mazowsze, ale wiatry od Drohiczyzna, jak już się zdarzały, musiały przywiewać zapach podlaskich łąk i malowniczych ugorów poodmierzanych brzezunami, i formować konstrukcje, jeżeli popolite, to nie tak dosadne, nie tak kategoryczne w grubiastwie.

Łochów nie Łochów, Konstanty znał ten rodzaj na wylot. Nasycił się nim jak smrodem łajna. Zapamiętał, cokolwiek by się miało wydarzyć, do końca życia.

Jak siebie samego znał tę niewzruszoność wobec ciszy przepastnych korytarzy, lekkości loggii, urody krużganek, tajemnic apartamentów wystawionych na żar dziedzińców i chłód podcieni.

Miał przed oczyma ciężki kłus, jakim ci ludzie, zawsze w sprawach niecierpiących zwłoki, przebiegali gabinety i biblioteki, w których tak często ważyły się losy świata.

Słyszał protekcyjny ton wobec każdej odwieczności, dostrzegał obojętność na piękno lub starość.

Cóż dla Mielczarka znaczyły gotyckie czaszki, głębokie spojrzenia, powściągliwa grzeczność, rysy ostre jak brzytwa, łagodzone od czasu do czasu uśmiechem wszechwiedzy.

Nawet Dino Barbazza, w imieniu którego przybył o świcie motorową łodzią z kontynentu, nie znaczył dla Mielczarka więcej zapewne niż urząd, który ten Sycylijczyk pełnił.

A Barbazza, choć mogło się tak nie stać, zaabsorbował kurz, zapach, ciszę, wszystko, co składało się na ducha pięćsetletniej Kongregacji, zadając szyku swą senatorską

tuszą i niemożliwą, można by pomyśleć, do podpatrzenia dostojnością.

A przecież ojciec jego i ojciec jego ojca, i wszyscy wstecz, do kilkunastu, lekko biorąc, pokoleń, wyschnięci jak figi, pieprzyli się regularnie z owcami w wytrzebionych z drzew, niezaludnionych, bandyckich górach i niewykluczone, że sam Barbazza tego w pacholeństwie zakosztował, kiedy fale podniecenia rozrywały mu jaja.

Morze gęstniało, aż stanęło w miejscu.

O powietrzu nie ma nawet co wspominać.

Konstanty czuł się dzisiaj jak w sierpniowym, opustoszałym, mimo hord turystów, Rzymie, który lubił szczególnie, choć właśnie w tym miesiącu osłabiała go najdotkliwiej gorączka, ustępująca dopiero przed listopadowymi, a bywało, że i grudniowymi chłodami.

Bał się tych tajemniczych infekcji jak mało czego. Demolowały go od wczesnej młodości i dopiero klimat pustynnej wyspy, który był niczym źródło życia, wypłoszył wszystkie dolegliwości.

Po pół roku mniej więcej chodził jak maszyna. I po pół roku zaczął rozglądać się za kobietami. W Rzymie mu ich nie brakowało. Lecz im były powszedniejsze, ładniejsze, młodsze, im więcej im się podobał, tym mniej ich pożył.

Na wyspie brałby każdą, nie było żadnej.

Przed siódmą podzielił się tym z Mielczarkiem. Powiedział wprost, że jeżeli mu tu czego brakuje, to kobiet.

Nic nie zapowiadało grozy i może dlatego wisiała w powietrzu. Komunikaty radiowe nie różniły się niczym od poprzednich, lecz trzeba było znać wyspę, by wiedzieć,

że tym razem wiatr przyniesie więcej piasku, więcej żaru ze wschodniego ergu i nie ustąpi, jak zwykle, po połowie dnia.

Żaden podmuch nie szeleścił, nieliczne zwierzęta zapadły się pod ziemię. Ptaki umilkły. Słońce wyostrzyło się jeszcze i ziemia zżółkła do szczytu. Nic w pejzażu nie uwodziło i może dlatego Konstanty tak go lubił.

Upał, pustynna suchość, mimo bezmiaru wód wokół, biel fasad, błękit drzwi i okien, dyskretna obecność przyjaznych na ogół ludzi, niezakłócających sobą żadnego z widoków, reglamentowana zieleń, szarzejąca w miarę zbliżania się lata, aż u jego szczytu przybierająca barwę wszystkiego wokół.

Konstanty, skryty w cieniu, całymi godzinami sycił nimi oczy.

Równie ascetyczna jak pejzaż kuchnia też robiła mu dobrze.

Sprowadzana z kontynentu woda, pół na pół z miejscowym, lekkim winem, jęczmieńne placki, chude, nie większe od wron kurczaki, pieczone w glinianych, ledwo z ziemi wystających piecach, nasączone ziołami, ser suszony na słońcu, drobne oliwki, aromatyczne pomidory, ostra cebula i rukola, która to wszystko jednała.

Jego wymęczony europejską różnorodnością organizm odetchnął.

Odnalazł siebie w biblijnej wręcz surowości.

Zbliżała się ósma, gdy radio zaszumiało kolejnym tego dnia komunikatem. Mielczarek zapytał, o czym mówią.

Konstanty odpowiedział, że o wietrze, który uderzy za kilkanaście godzin.

Jak uderzy, zapytał Mielczarek, a Konstanty skłamał, że jak zwykle.

Mieli więc ósmą rano, a upał jak w południe. Czuli go nawet na ocienionym markizą, przewiewanym bryzą tarasie. Dzisiaj bryzy nie było, cień padał, lecz równie dokuczliwy jak słońce, i jeżeli go coś wyróżniało z rozpalonej żółtości, to barwa, bo sam zdawał się rozprażony jak wszystko, czego nie chronił.

Cień między kwietniem a listopadem na wyspie był wszystkim. Dlatego oprócz dobrej wody najbardziej go brakowało. Wodę z Al-Gharb dowoziły łodzie, cienia nie dowoził nikt; ludzie wyrywali go sobie nawzajem, przeciągali, przekupywali, kusili, a on, wybredny, chwiejny, chimeryczny, padał skąpo i najczęściej nie tam, gdzie się go oczekiwało.

Konstanty pomyślał o Netcie. Jak ona znosi upał w letniej stajni Malloume'a pod trzciniowym dachem. Powinien być już w drodze do niej, lecz obezwładniająca niemoc od dawna niezaznanej gorączki, która przypomniała mu rzymskie osłabienia, przykuła go do ratanowego fotela.

Gdzieś za nimi odezwał się zrozpaczony wielbłąd, przeczuwający swój smutny koniec. Okrutnie na wyspie kończyły te niebiańsko cierpliwe, zapracowane zwierzęta, mordowane między świtem a porankiem, powalane sznurami gdzie bądź na wyschniętą ziemię, która poila się kilkunastoma litrami ich krwi, upuszczanej miarowo, z nabożeństwem, wśród obojętnej na cierpienie czeredy gapiów.

Oprawiali nieszczęśnika mężczyźni niemłodzi, jak większość tutejszych, wyschnięci na wiór, na co dzień

delikatni i uważni, skłonni do zamyśleń, zapatrzeń, zamknięci na innych, wolni od strzępu nawet rzeźnickiej brutalności.

Tacy jak Malloume.

Konstanty lubił Malloume'a, choć podejrzewał go o udział w tych niczym nieusprawiedliwionych, przedłużanych w nieskończoność kaźniach. Raz nawet ściał go uderzeniem w twarz, kiedy za podejrzeniem poszedł niekontrolowany atak gniewu, wyzwolony jeszcze jakąś niesumiennością wobec siwej klaczy arabskiej.

Od lat naznaczała go brutalność, która przynosiła ulgę, i wrażliwość na cierpienie, od której dostawał mdłości. Dałby wiele, żeby wzorem innych, Mielczarka najpewniej, przechodzić mimo ze świadomością, że przynależność do gatunku władców ziemi i osiągnięta w nim pozycja chronią go obligatoryjnie przed torturami zadawanymi dla nich samych.

Tak jak temu zadręczanemu wielbłądowi, który go przywoływał nadaremno.

Mielczarek zapytał, czy mogliby przejść na ty w rozmowie, jaka ich czeka. Na pytanie Konstantego, co miałyby to uprościć lub ułatwić, odrzekł, że wszystko.

Konstanty zaprzeczył ruchem głowy. Nie odrywając oczu od morza, które bez przerwy gubiło kolor, wchłaniany przez następny, trwający też chwilę, powiedział, że rzecz w czym innym.

Mielczarek pochylił się na bliźniaczym, ratanowym fotelu i Konstanty poczuł jego oddech.

– W tym mianowicie – tyle się Konstanty odsunął, ile jego gość przysunął – że jedyna kobieta, do której

mógłbym się zbliżyć, to niemłoda Arabka dwa razy w tygodniu zmywająca mi podłogę. Jej córka, sądząc po ruchach, wdzięczna jak gazela, jest już poza moim wyborem. Zważyć proszę, że nie powiedziałem zasięgiem czy możliwością, a wyborem.

Mielczarek po kilku minutach zapytał o różnicę między zasięgiem a wyborem, a Konstanty po kilku minutach odpowiedział, że trzeba tu pomieszkać, by wiedzieć, co to znaczy niemłoda Arabka.

I zamilkli na dłużej. Wielbłąd też się już nie odezwał.

Choć nim tak się stało, Mielczarek napomknął, że przetarg na budowę kilku hoteli wygrał, jak sądzić należało, skandynawski inwestor, w związku z czym liczyć się trzeba z rychłym przyjazdem na wyspę polskich robotników, których Skandynawowie sobie upodobali.

Mielczarek zwrócił twarz ku morzu. Konstanty przypatrywał mu się bezceremonialnie.

Z czasów rzymskich go nie pamiętał. Musieli się gdzieś spotkać, minąć, otrzeć o siebie chociażby, ale co innego spotkać, co innego zapamiętać. Żeby zapamiętać, trzeba rozróżnić, a rozróżniając – wyróżnić. Jak wyróżnić trzydziestoletniego onanistę z łupieżem na sukni?

Jak wyróżnić wśród innych twarz jasną, okrągłą, z grymasem prowincjonalnego sarkazmu, tak przeciwnego tym poważnym, naturalnym, zakotwiczonym w kurii od kilku, a bywa, że i kilkunastu pokoleń?

Jak odróżnić, więc wyróżnić, a więc zapamiętać, od nierozróżnialnej z definicji ciżby, która najechała Wieczne Miasto z nieznanym mu od wieków entuzjazmem i tak je ożywiła?

Byli przy trzeciej kawie, kiedy minęła dziewiąta. Cóż za przyjemność te poranne kawy na tarasie nadmorskiego bunkra, oddzielane od siebie papierosami. Kawy lurowate, lekko słodzone, zabelone niemieckim kondensatem mleka.

Konstanty wyciągnął przed siebie nogi w postrzępionych szortach i dał sobie czas do dziesiątej. Potem, niezależnie od samopoczucia, odwiedzi Nette.

Ciekawe, co Mielczarek sądzi o jego nogach, porównując je, co nieuniknione, z własnymi.

Nie może nie zauważyć, że nogi człowieka, do którego przybył o świcie motorową łodzią z kontynentu, brązowe są od opalenizny i kształtnie uformowane. Że po zbyt szerokich, skłaniających się ku platfusowi stopach przychodzi cienka kostka, ponad którą wyrastają dwa bochny umięśnionych łydek, które od równie wytrenowanych ud oddziela kościste kolano, chroniąc całość przed nudą doskonałości.

A nogi Mielczarka, jak sądzić należy, parafialne.

Zakłaczane, blade, krótkie naturalnie, twarde od sadła. Gdyby je wytopić, zostałyby kości i skóra, a mięśniów tyle tylko, by je uruchamiać.

Moje nogi, pomyślał Konstanty, są transparentne, wiadać gdzie kość, gdzie mięsień, gdzie ścięgno. Idę o zakład, że nogi Mielczarka, gdyby tak zechciał zdrzeć suknię, nie ujawnią niczego. Równe jak słupy, słabosilne, odporne na kontuzje, niewzruszone żadną żyłą lub tętnicą, o nerwach nie wspominając, bo wszystko skryte pod świńską, odpowiednio nałożowaną skórą.

Nogi sposobne do futbolowej piłki i futbolowego boiska, więc seminaryjne.

Gdyby teraz, z perspektywy lat kilkunastu, miał Konstanty wskazać rzecz najcelniej charakteryzującą alumnów w siedleckim seminarium, to wskazałby piłkę nożną, uprawianą obsesyjnie przez słuchaczy nie tylko jego roku.

Na ogół grali zręcznie.

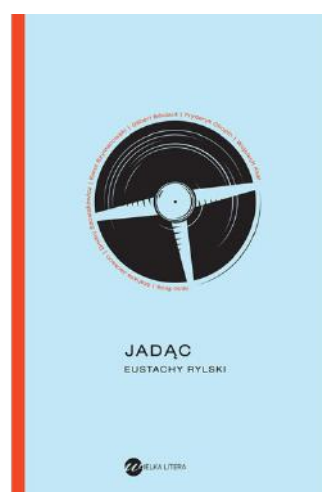
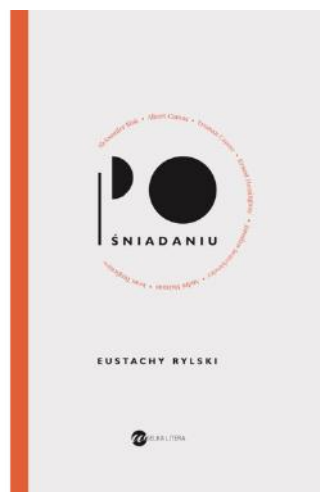
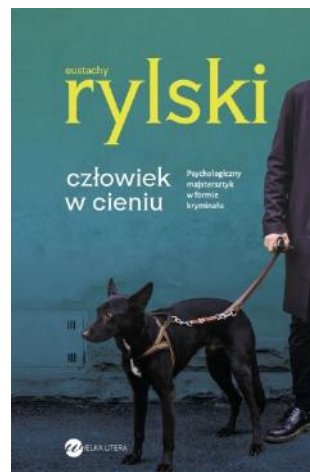
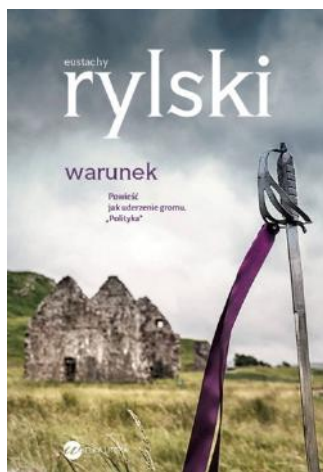
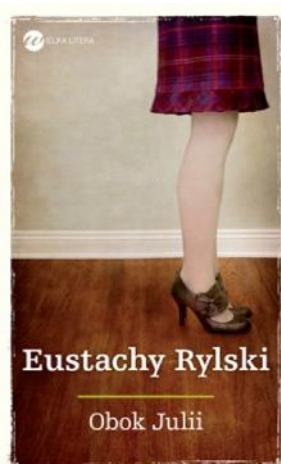
Mieli do tego zajęcia dryg, jakby pod tym kątem się skrzyknęli, jakby dryg do futbolu weryfikował ich powołania.

Konstanty, niechętny w tym czasie sportom, osłabiany już dotkliwie przez tajemnicze gorączki, nie dostrzegał w alumnach sportowego zacięcia, tej niemożliwej do okiełznania chęci rywalizacji, w każdym czasie i na każdym polu, tego zaprawiania się we wszelkiej konkurencji. Niewielu uprawiało poranną gimnastykę, niewielu mocoowało się z hantlami czy sprężynami, nikt z jego roku nie biegał, nie jeździł na rowerze. Boisko do siatkówki leżało odłogiem. Siedlecki zalew nawet w czasie upałów nie był przez alumnów odwiedzany, podobnie jak, marne bo marne, ale jednak, tenisowe korty.

A piłka nożna w użyciu była co popołudnie, od wiosny do późnej jesieni.

Nie mylił się, sądząc wtedy, że nie jest ona dla tych młodych, dobrze odżywionych mężczyzn sportem. Jest zadośćuczynieniem całej tkwiącej w nich plebejskiej chęci odnalezienia się w stadzie, w wiejskiej wspólnoty; wspólnych sianokosach, żniwach, młóckach, wykopkach. Dlatego byli do tego przysposobieni, jak do kosy, cepa, snopa; nieustępliwi, robotni, niespożyci, uparci, prości i chytry jednocześnie, umiejący kiwnąć przeciwnika, a jak się zdarzy, to i swego.

Mogą Cię także zainteresować:



Zapraszamy na wielkalitera.pl